

Zofia Kucówna: Polska baba jest nie do zabicia



LUDZIE SZTUKI



mi ze wsi, a przede wszystkim z wiejskimi kobietami, które mnie zafascynowały.

Polskie baby

Te baby, nasze, polskie były fantastyczne. Zrozumiałam, iż to, że istniejemy jako tkanka społeczna, zawdzięczamy tym naszym polskim babom, które są nie do zabicia. Występuję np. w jakiejś sali, w gminie. Cała widownia wypełniona, głównie kobietami. Pytam: - Gdzie są panowie? - A, są zmęczeni. Oglądają telewizję i popijają whisky. (To było na Rzeszowszczyźnie, parę lat temu, kiedy tam było modne picie whisky). Natomiast te kobiety przychodziły na mój spektakl, słuchały, potem się spotykały ze mną, urządziły przyjęcia, serwowały na stół torty, czasem po pięć, bo chciały się popisać, która lepszy tort robi. Piłyśmy herbatę i rozmawiałyśmy o życiu. Przychodziły różne kobiety. Młode, ubrane wedle gustu z seriali telewizyjnych, ale również kobiety 70-latkę w kraciastych chustkach na głowie, podpierające się laseczkami. Nie zapomnę: siedziała koło mnie staruszka, taka zadumana, i w pewnym momencie mówi do mnie tak: - Wie pani, fajna była ta pani Curie-Skłodowska, ale patrz pani, ona myślała, że pracuje dla ludzi, a ona pracowała na bombę atomową. Może lepiej by było, żeby się nie rodziła... Wtedy ja: - To już naprawdę nie ma znaczenia, bo gdyby nie ona, to ktoś inny by na tę bombę wpadł. - Ma pani rację, ma pani rację... - powiedziała ta kobieta.

Otóż tego rodzaju spotkania były dla mnie - osoby, która sobie dość wygodnie żyła w Warszawie przez wiele lat - jak gdyby powrotem do moich pierwszych lat teatralnych. I to było dla mnie pouczające, ale przede wszystkim wzruszające.

LUCYNA HOSZOWSKA

P.S. Ten tekst to nie autoryzowany zapis fragmentu spotkania z Zofią Kucówną, które odbyło się w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Były tłumy, owacje na wejście i na pożegnanie.

L.H.

Jedna z największych aktorek w powojennej historii polskiego teatru. Znała również kolejnym pokoleniom z licznych kreacji telewizyjnych i filmowych. Teraz Zofia Kucówna dała się poznać także jako pisarka. Jej pierwsza książka pt. „Zatrzymać czas” stała się bestsellerem. Autorka mówi, że żadna z ról, które zagrała, nie przyniosła jej takiej satysfakcji. Żadna nie miała tylu recenzji, nie wywołała takiej lawiny listów. To miłe, ale istotne jest to, że w wielu listach czytelnicy pisali, że ta książka pomogła im. Pomogła zrozumieć własne problemy, przełamać złą pasję i pogodniej spojrzeć na świat.

O zawodzie aktora

Nasz zawód jest tak straszliwie ulotny, tak fizycznie trudny do dotknięcia. Kiedy przedstawienie schodzi z afisza, rola przestaje istnieć, a każda następna jest właściwie pracą od początku, od zera. Tak to przynajmniej wygląda w mojej świadomości. Ja przy każdej następnej roli jestem białą kartką, którą sama muszę zapisać od nowa. Na tym polega - w moim pojęciu - cud, ale i pewien smutek związany z zawodem aktora. Każdy inny zawód pozostawia po sobie jakieś ślady. A moje role będą trwały tak długo, jak długo będą żyły w pamięci widzów. Mam świadomość, że w końcu przecież nieduża liczba osób widziała te moje role w teatrze. Tak to jest z tym moim zawodem, który ukochałam oczywiście. Ale zdarzało mi się również ten zawód przeklinać.

Inne życie

W roku 1980 zostałam trochę poza teatrem, ponieważ trzeba było wyjść z Teatru Narodowego, który był moim teatrem przez 14 lat. Podjęłam wtedy robotę dla mnie dosyć trudną, której nigdy przedtem nie robiłam. Przygotowałam trzy duże monodramy, z którymi jeździłam po Polsce. I nie tylko, bo pokazywałam je również w Warszawie, głównie w muzeach. Dąbrowską - w mieszkaniu, w którym ona mieszkała przez ponad 30 lat, to jest w dzisiejszym jej muzeum; „Sublokatorkę” Hanny Krallówny w Muzeum Archidiecezji na Solcu, a monodram o Marii Curie-Skłodowskiej w jej muzeum na Starym Mieście,

na Freta. Śmiałam się z siebie, że zamieniłam się w muzealną aktorkę. To były duże teksty. W sumie musiały pamiętać ponad pięć godzin mówienia. Z początku bałam się, kiedy podejmowałam ten jak na mnie duży wysiłek. Bo to przecież już ani te lata, ani to zdrowie. Wciąż kołatało się we mnie pytanie: czy podołam? Otóż satysfak-

cja, która płynęła z tych spektakli, była tak ogromna, że rekompensowała mi wszystkie moje zmęczenia. Robiłam przecież dwu, trzytygodniowe tury, np. po Rzeszowszczyźnie, i występowałam nie tylko w tych większych ośrodkach, gdzie były domy kultury, ale również w gminach. I to były najbardziej wzruszające spotkania. Z ludź-